

ARTUR ZABORSKI, Newsweek, nr 12, 21-27.03.2022 r.



Po roli Władysława Szpilmana przez rok cierpiałem na depresję. Siedziałem na kanapie u przyjaciół i próbowałem zacząć życie na nowo - wspomina Adrien Brody. 20 lat temu zagrał w „Pianiście” Romana Polańskiego i zdobył Oscara

Miał 29 lat, gdy odbierał statuetkę Akademii. Jednak nie pisano wtedy o tym, że został najmłodszym aktorem w historii z tą nagrodą. Sensację wzbudził pocałunek, który wymusił na wręczającej mu nagrodę Halle Berry. Zawadiacki Brody, który podszedł do aktorki, przechylił ją i przyłgął wargami do jej ust, nie wyglądał wtedy na kogoś, kto nie potrafi znaleźć równowagi w życiu. Trudno było uwierzyć, że ten wesoły aktor walczy z demonami, które wywołał „Pianista”.

TEATR I NIELEGALNE WYŚCIGI

O tym, że Brody utożsamia się z granymi postaciami, wiadano od dawna. Występował przecież od najmłodszych lat. Debiutował na scenie jako trzynastolatek, w telewizyjnej produkcji „Home at Last” pojawił się dwa lata później. Rodzice - fotografka Sylvia Piachy i profesor historii Elliot Brody, którego ojciec był polskim Żydem - widząc, że ich syn uwielbia występy, wysłali go na zajęcia z teatru. Chcieli w ten sposób odciągnąć go od złego towarzystwa - później Brody tłumaczył w wywiadach, że do kolegów zafascynowanych nielegalnymi wyścigami samochodowymi ciągnęło go, bo nikogo nie udawali, w odróżnieniu od znajomych rodziców, którzy nosili przyklejone uśmiechy.

- Gdy oglądałem kolegów za kółkiem albo gdy chodziłem na mecze koszykówki, najbardziej interesowało mnie wtedy rozgryzanie, jak ci ludzie się ruszają, ale też, jak reagują na presję, jaką wywołują oczekiwania widowni - opowiada Adrien Brody, gdy w grupie dziennikarzy

rozmawiamy z nim na Zoomie. - Zastanawiałem się, jak ja bym sobie z tym poradził.

Przekonał się, że potrafi, dzięki angażowi w filmach „Król wzgórz” (1993), „Rezerwowy anioł stróż” (1994) czy „Nic do stracenia” (1995), w których wcielał się w bohaterów odstających od reszty. Prawdziwy sukces przyszedł dzięki roli w „Bullet” (1996). Pojawił się w nim u boku sław: rapera Tupaca Shakura i Mickeya Rourke’a. Zagrał brata tytułowego kryminalisty i narkomana, za co dostał nominację do prestiżowej Independent Spirit Award. Mówi, że wtedy zaczął rozumieć, na czym polega granie, bo poczuł emocje swojego bohatera, nie musiał ich udawać.

WOJNA I STRAJK DOZORCÓW

Szukał wyzwań, chciał pokazywać mroczną stronę ludzkiej natury. Taki miał być wojenny film Terrence’a Malicka „Cienka czerwona linia” (1998). Brody razem z Seanem Pennem, Nickiem Noltem i Johnem Cusackiem wyjechał na pół roku do Australii, gdzie kręcili w trudnych warunkach. Aktor czuł się jak na poligonie. Malick wymagał od swojej ekipy pełnego zaangażowania.

Brody nie grał kaprała Geoffreya Fife’a na wojnie z Japończykami, on się nim stawał. Nie dojadł i dawkował sobie wodę do picia, byle tylko poczuć to, co jego bohater. Ponoć nie opatrywał skaleczeń. Był z siebie dumny i nie mógł doczekać się premiery. Ale kiedy zabrał rodziców na przedpremierowy pokaz, przeżył szok. Reżyser przy montażu wyciął wątek z postacią Brody’ego, bo uznał, że film ma za dużo bohaterów.

- Dałem z siebie na planie wszystko, a nie dostałem nic w zamian. Byłem załamany - mówił aktor w wywiadzie dla „Guar- diana”. - Najgorsze jest to, że nikt mi o tym nie powiedział wcześniej.

Jednak jego kariera nabierała rozpędu. Dla Spike’a Lee („Mordercze lato”) kompletnie zmienił swój wizerunek - nosił irokeza, przydługie koszulki i kłął jak szewc. Na potrzeby roli u Kena Loacha („Chleb i różę”) zapisał się do związku zawodowego dozorców i uczestniczył w negocjacjach strajkowych. Ale to wszystko nic w porównaniu z tym, co zrobił dla Romana Polańskiego w filmie o Władysławie Szpilmanie, pianinie, który cudem przeżył II wojnę światową.

To polski reżyser zaprosił go do domu na spotkanie. Brody akurat kręcił we Francji „Aferę naszymi”. Brody był zafascynowany Polańskim od pierwszych chwil. I choć nie znał scenariusza „Pianisty”, chciał w nim zagrać.

NIE, NIE JADŁEM. TAK, ĆWICZYŁEM NA FORTEPIANIE

Przygotowania do roli pochłonięły go bez reszty. Polański mnożył wymagania. Najpierw kazał mu schudnąć, więc Brody zrzucił 13 kilogramów. Potem chciał, żeby nauczył się grać na fortepianie Chopina, więc aktor przez wiele tygodni ćwiczył po kilka godzin dziennie. - Już wcześniej zajmowałem się muzyką, ale nie nauczyłem się zbyt dobrze czytać nut. Sztuka polegała na tym, żebym grał Chopina z pamięci - opowiadał Brody

Potem rozpoczął najtrudniejszą część przygotowań: zupełnie wyizolował się od świata.

„Wiedziałem, że muszę poczuć samotność mojego bohatera, jego rozpacz z powodu rozpadającego się świata” - opowiadał w „Guardianie”. „Pozbyłem się telefonu komórkowego i porsche, wyprowadziłem się z mojego mieszkania. Zabrałem dwie walizki rzeczy oraz keyboard i przeniósłem się do Europy. Rozstałem się też ze swoją dziewczyną, bo nie była w stanie wytrzymać mojej transformacji” - dodawał. Czuł się samotny, smutny, pozbawiony nadziei. Tylko muzyka przynosiła ukojenie. „Gdy to odkryłem, zrozumiałem, dlaczego dla Szpilmana ona była tak istotna. Wtedy poczułem zespolenie z pianistą” - przekonywał. I żartował, że Polański nie bardzo zajmował się wtedy konstrukcją psychologiczną postaci, tylko stroną fizyczną aktora. „Za każdym razem zadawał mi dwa pytania: »Czy jadłeś dzisiaj i czy ćwiczyłeś grę na fortepianie?« ^ »Nie, nie jadłem. Tak, ćwiczyłem grę na fortepianie«, tak musiałem odpowiadać” - śmiał się w programie telewizyjnym Charliego Rose’a.

Brody sam zagłębiał się w przeżycia Szpilmana. Szukał odpowiedzi na pytanie, co czuje osoba, która wszystko traci, a jednocześnie musi mieć przekonanie, że jest wybrańcem, skoro świat dookoła obraca się w pył, a jemu udaje się przeżyć. I jak to możliwe, że w swoich wspomnieniach opublikowanych wiele lat po wojnie Szpilman opowiada o przeszłości bez wyraźnego podziału na dobrych Żydów i złych nazistów. Że pisze bez emocji i bez potępienia. Że dostrzega drobne gesty Niemców i niegodziwości rodaków. I opowiada o tym wszystkim bez sentymentalizmu.

Brody zrozumiał, że nie chodzi o to, by zrobić film biograficzny o wielkiej postaci potraktowanej w wyjątkowy sposób przez historię. Ekranowy Szpilman to nie heros z hollywoodzkiego filmu,

który poświęci siebie, by ratować innych. To człowiek, który skupia się na tym, by przetrwać. Powiedział o tym Polańskiemu, który był jego interpretacją zachwycony. Reżyser z pomocą historii Szpilmana chciał rozliczyć się z własną historią - żydowskiego chłopca z krakowskiego getta, którego ukrywała polska rodzina.

„Polański inkrustował scenariusz swoimi doświadczeniami, którymi najpierw dzielił się ze mną. Dla mnie najbardziej wstrząsająca była jego opowieść o powolnym traceniu przez Żydów praw do swobodnego życia. Najpierw zakazano im chodzić do sklepów, potem ograniczono dla nich przestrzeń miasta, wreszcie zaczęto naruszać ich przestrzeń cielesną. W jednej ze scen »Pianisty« mój bohater jest świadkiem, jak niemiecki żołnierz wymierza policzek jego ojcu. To scena jeden do jednego przeniesiona z życia Romana” - opowiadał Brody w programie Charliego Rose’a.

Aktor czuł, że poradzi sobie z tą trudną rolą. Moment zawahania przyszedł, gdy ogłoszono oficjalnie, że to on zagra Szpilmana. Prasa z lubością ilustrowała tę informację jego zdjęciami z irokezem z „Morderczego lata” i pokpiwała, że wybrano go, bo jest Amerykaninem, co „Pianiście” miało zapewnić zainteresowanie za oceanem. Wtedy mało kto mógł przypuszczać, że dzięki roli Szpilmana Brody zostanie drugim amerykańskim aktorem w historii, który dostanie Cezara, francuski odpowiednik Oscara, za pierwszoplanową rolę męską.

POLAŃSKI W BŁOCIE

Kiedy zaczęli zdjęcia, Brody przekonał się, że Polański dla kina gotowy jest na takie samo poświęcenia jak on sam. - Nigdy nie zapomnę, jak Roman tłumaczył statyście, w jaki sposób ma przewrócić się w błocie. Pokazał mu to, kładąc się w swojej eleganckiej kurtce w błocie, zupełnie tym niewzruszony - opowiada aktor. Wspomina też, jak Polański wściekł się, gdy asystent operatora Pawła Edelmana przyniósł do wyziębionego pomieszczenia, w którym kręcili, farelkę. „Chcesz ogrzewać miejsce, w którym bohater dygoce z zimna!?” - miał huknąć w emocjach.

Praca na planie pochłaniała aktora całkowicie. Właściwie przeniósł się w czasie - nie zajmowała go teraźniejszość i świat za oknem, krążył nieustannie wokół tego, czego doświadczyli Żydzi w czasie II wojny światowej. - Czułem się odpowiedzialny za to, co pokazujemy. Myśl, że mogłbym odgrywać czyjś ból, nie była komfortowa. Ja chciałem się do niego jakoś zbliżyć, oddać to doświadczenie - mówił.

Na festiwalu w Cannes „Pianista” dostał Złotą Palmę, a Brody trafił do najwyższej ligi aktorskiej. W recenzjach z festiwalu już nikt nie pisał, że jest nowym Alem Pacino, jak wcześniej chętnie go nazywano.

Mówił, że gdy oglądał „Pianistę” po raz pierwszy, płakał. „Za drugim, trzecim i czwartym razem też” - wyznał w programie Charliego Rose’a.

Czy rola Szpilmana zmieniła jego życia, poza tym, że uczyniła go sławnym na całym świecie? „Zacząłem być wdzięczny za każdy, najdrobniejszy nawet posiłek, do którego się zabierałem. Doświadczyłem w życiu straty, wiedziałem, czym jest samotność, znałem uczucie smutku. Ale nie miałem pojęcia, czym jest desperacja, do której popycha człowieka głód. Nie mogę powiedzieć, że nie dojadając na potrzeby roli, doświadczyłem takiej desperacji, ale zbliżyłem się do niej na tyle blisko, żeby doceniać najdrobniejszy kawałek jedzenia, na który mogę sobie pozwolić” - opowiadał w BBC.

SUKCES I NOWE MARZENIE

Przez rok po zakończeniu zdjęć cierpiał na depresję. Nie był w stanie wrócić do normalnego życia. „To był rodzaj żałoby, przez którą przechodziłem. Wiedziałem o Holokauście wcześniej, ale dopiero poprzez tę rolę się weń zagłębiłem. Musiałem opłakać tamten świat. Przez rok leżałem na kanapie u moich przyjaciół i próbowałem nawiązać z nimi relację na nowo. I jakoś wrócić do mojego własnego życia” - opowiadał na festiwalu w Locarno.

W końcu mu się udało, ale nie zrezygnował z całkowitego utożsamiania się ze swoimi postaciami. Na potrzeby roli w „Oblędzie” (2005), w którym grał bohatera izolowanego w zakładzie psychiatrycznym, kazał się zawijać w kaftan bezpieczeństwa nawet po wyłączeniu kamery. A gdy przygotowywał się do roli w „Resecie” (2010), zamieszkał na jakiś czas w kanadyjskim lesie, który przemierza jego postać.

Teraz w serialu „Lakers: Dynastia zwycięzców” wciela się w Pata Rileya, trenera koszykarzy Los Angeles Lakers, który zdobył z drużyną cztery mistrzostwa NBA

- Nareszcie gram kogoś, kto walczył nie o przetrwanie, tylko o sukces - śmieje się Brody, kiedy rozmawiamy na Zoomie. - Riley dorastał w ubogiej rodzinie. Musiał się bardzo starać, żeby coś

osiągnąć. Jego historia jest inspirująca także dla zawodników, którym imponowało, że mają przed sobą kogoś, kto zdobył pozycję dzięki ciężkiej pracy. Wierzę, że tak może to też zadziałać na młodych widzów - dodaje.

Brody'emu znów udało się spektakularna transformacja. W pierwszych odcinkach jego bohater jest wyluzowany, nosi byle jakie ciuchy. Wraz z upływem czasu się zmienia - nabiera stylu, ogłady, klasy. Inaczej chodzi, mówi, ma inną mimikę.

- To wszystko było w scenariuszu! - krzyczy Brody, gdy chwalimy jego występ. - Chociaż muszę przyznać, że gdy zobaczyłem nagranie Pata z jego młodości, nie mogłem uwierzyć, że to ten sam człowiek, którego twarz znam z mediów. Zrozumiałem, ile mamy wspólnego. Ja kiedyś też byłem takim pełnym werwy, nieokrzesanym chłopcem, który marzył o podboju Kalifornii. Obaj spełniliśmy swoje marzenie, a potem znaleźliśmy sobie kolejne - opowiada nam Brody.

Pytamy go, czy po takim sukcesie, jaki osiągnął dzięki „Pianiście”, jeszcze miał o czym marzyć.

- Zanim odebrałem statuetkę, Oscar był szczytem moich marzeń. Gdy go dostałem, znalazłem sobie nowe pragnienia. Człowieka nie da się nasycić. Nie sądzę, by dało się osiągnąć taki moment w życiu, gdy człowiek mówi do siebie: „Ja już nic więcej nie chcę”. Pat Riley jest na to najlepszym przykładem. Ja sam zresztą też.

Opracował: Cwi Mikulicki - Hajfa, Izrael